№ 52. Warszawa, dnia 11 (23) Grudnia 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Gawędy Naukowe.

CZŁOWIEK PRZEDHISTORYCZNY

przez **H. K.**

(Dalszy ciąg).

Kjoekkenmoeddings'y. — Ślady wieków przedhistorycznych w Danji. — Torfowiska i ich wyraźne warstwy. — Wiek kamienia. — Wiek bronzu. — Wiek żelaza. — Osady nawodne. — Zwyczaje i obyczaje człowieka pierwotnego. — Początek rolnictwa, przemysłu i handlu.

Badania *Kjoekkenmoeddings'ów*, czyli pozostałości kuchennych ludów pierwotnych które zajmowały torfowe bagna Danji, oraz jeziornych mieszkańców Włoch i Szwajcaryi, dostarczyły nauce szacownych dokumentów co do człowieka pierwotnego.

Dzięki pracom PP. Troyon, Morlot, Keller i Desor w Szwajcaryi, genialnym poglądom kilku duńskich naturalistów, badaniom PP. Stopani i Nicolucci we Włoszech, niezmordowanym poszukiwaniom PP. Lartet, Christy, Boucher de Perthes, de Mortillet, we Francyi, oraz uczonych krajów wszystkich, jesteśmy już w stanie choć w grubszych zarysach przedstawić sobie historyą tych czasów odległych, zdać sobie nawet sprawę z życia, zwyczajów i obyczajów człowieka kopalnego, zestawić jego prostaczy przemysł z rozwojem sztuki teraźniejszej, i okazać, jak ludzkość w kolebce swojej, jakkolwiek niedołężna i dzika, miała zawsze w sobie ów zarodek wyższej inteligencyi który tak potężnie z postępem wieków miał się rozwinąć.

W wielu miejscach na brzegach Danji, dają się napotykać w pobliżu morza, kupy muszel wielkości bardzo rozmaitej, sięgającej niekiedy do tysiąca stóp długości a dwóchset szerokości, przy wysokości stóp dziesięciu. Gdzie nie gdzie kupy te bywają w okrąg ułożone, w około pustego środka, które zdaje się iż przez mieszkania ludzkie musiało być zajęte.

Te ogromne kupy nagromadzonych muszel i kości, oddawna były znane, mało na nie zwracano uwagi, sądząc iż były po prostu przez wody morskie wyrzucone; badania jednak bardzo niedawne okazały, iż jeden tylko człowiek mógł je utworzyć i że są bez zaprzeczenia złożone z pozostałości jego pokarmów. To też Duńczycy nazwali je *Kjoekkenmoeddings*, co znaczy dosłownie: pozostałości kuchenne. Milijony muszel, ostryg i innych mięczaków jadalnych, przeważnie w nich się znajdują, zmieszane z kośćmi zwierząt ssących, ryb i ptaków; przytem dają się wśród nich odgrzebywać w znacznej ilości topory, noże i inne narzędzia kamienne, wraz z czerepami niezgrabnie wyrobionych naczyń glinianych, drobniejszych narzędzi z rogów i kości, popiołów i niedopalonych drzewa kawałków. W r. 1847, specyalna komisya której polecono zbadanie tych *Kjoekkenmoeddings'ów*, zebrała przepyszną kolekcyę z przeszło dziesięciu tysięcy rozpoznanych okazów zwierząt znalezionych w kupach owych.

Pośród tych muszli gęsto się natrafiają kości wielu gatunków zwierząt dzikich, z których jeden tylko „Wół pierwotny" (Bos primigenius) do już wygasłych gatunków należy: szczątki fok i bobrów bardzo bywają liczne. Kości jelenia, sarny, ostrowidza, wilka, lisa, spotykają się prawie zawsze rozłupane, jakby to uczynione było ostrem narzędziem dla wydobycia szpiku.

Owe zatem *Kjoekkenmoeddings'y* są jak widzimy nie małej wagi dla nauki, ukazują nam bowiem, po upływie kilkuset wieków, szczątki pokarmów któremi się żywili dzielni zapewne myśliwi, odważni rybacy, a których pamięć zdawała się być na zawsze w głębiach przeszłości zagrzebana.

Torfowiska Danji dostarczają także ciekawych spostrzeżeń może bardziej ważnych jeszcze. Nie masz ani jednego sążnia kwadratowego tych bagien w których by nie przechowały się ślady ludzkie; kości i szczątki wszelkiego rodzaju które w nich się znajdują, są dla uczonych niewyczerpanem źródłem badań: natura zdaje się jakby z umysłu przechowała te ślady aby dozwolić nam wykrycie ich początków. Torfowiska bowiem Danji utworzone są z trzech niezmiernie wyraźnych pokładów leżących jedne na drugich, z których każdy innym do nas przemawia językiem i przedstawia oczom naszym trzy zupełnie różne okresy wegetacyi: najdawniejszym jest okres sosny, obecnie zupełnie nie istniejącej; drugim okres dębu, w dzisiejszych czasach bardzo już rzadki; a trzecim czyli wierzchnim, okres buków rozciągających i obecnie gęste swe konary po nad gruntem tego półwyspu. Torfowiska przechowały to co w nie wpadło i poszukiwania które w nich czynią; ukazują trzy wyraźne muzea, zmieniające niejako zbiory swoje z każdym nowym okresem roślinności. Szczątków ludzkich nie ma wcale w najniższym pokładzie torfowiska; w drugim ukazują się bronie kościane i kamienne; w trzecim zaś, najbliższym powierzchni gruntu, napotykają broń i naczynia bronzowe. Na zasadzie tych odkryć, pierwsza epoka historyi ludzkości, przez duńskich uczonych na trzy wieki czyli okresy została podzielona.

1) *Okres kamienia.* W ciągu tego peryodu człowiek się uzbraja i tworzy sobie narzędzia obrabiając krzemień i inne kamienie; ogień jest mu znany jak o tem świadczą popioły i kawałki niedopalonego drzewa: okres ten dzielą jeszcze na dwa wyróżniające się od siebie wieki: epoka *kamienia nieobrobionego* i epoka *kamienia ogładzonego*).

2) *Okres bronzu.* W tym drugim peryodzie człowiek odkrywa i obrabia kruszce; umie połączyć cy-

nę z miedzią i wyrabiać z nich broń, naczynia i narzędzia; (odkrycia poczynione w Ameryce dozwalają wprowadzić jeszcze okres środkujący, a mianowicie *okres miedzi*, w którym ludy pierwotne tylko tego kruszcu używały, który im się przedstawiał w stanie samorodnym) i

3) *Okres żelaza* następnie już przychodzący i ukazujący nam przemysł daleko wyżej posunięty. Ten peryod jest ogromnym krokiem przez ludzkość naprzód uczynionym, która w jego ciągu odkrywa szkło, wymyśla monety i w swojej inteligencyi wynajduje tak bardzo ważny pomysł alfabetu.

Podział wyżej wskazany mógłby na błędne naprowadzić myśli, gdyby chciano przywiązywać do niego zbyteczne znaczenie i mniemać, że cywilizacya scharakteryzowana użyciem tych różnych między sobą materyałów, jednostajnie na kuli ziemskiej była rozprzestrzenioną. W tych oddalonych epokach istniały pomiędzy ludami cechy bardzo wyraźnie je wyróżniające, jak to ma miejsce i za dni naszych, w których widzimy wielkie przestrzenie lądów zamieszkałych przez ludy *epoki kamiennej* (wnętrze Brazylji i t. p.), gdy jednocześnie *wiek żelaza* panuje w Polinezyi, a *wiek broni ognistej* w Europie. W każdym razie podział ten istnieje i znalazł wymowne potwierdzenie w pracach geologów, którzy najprzód w Szwajcaryi, na jaw wyprowadzili nowy rodzaj pomników na całą naszą uwagę zasługujących.

Widzieliśmy iż jaskinie i rozpadliny w skałach służyły za mieszkania ludziom pierwotnym; szałasy i chaty z chrustu i gałęzi, oraz budowle na palach, oczywiście później stały się zwykłem ich mieszkaniem.

Nic zresztą tak bardzo dziwnego nie ma w szczególnym sposobie budowania się ludów jeziornych: Herodot wspomina o mieszkańcach jeziora Prusias; Dumont d'Urville w podróżach swoich opisuje podobne wioski wznoszące się za dni naszych, po nad wodami jezior Nowej-Gwinei. Malajczycy i Chińczycy w wielu miejscowościach budują chaty swoje na palach wbijanych w błotniste brzegi jezior, nareszcie laguna Maracaybo, przedstawia nam nowy przykład małej Wenecyi drewnianej pod nazwą Venezueli. Za czasów Rzeczypospolitej rzymskiej, Batawy zamieszkiwali w szałasach wzniesionych na palach nad ziemią sterczących; kilka pokoleń z nad równin Orenoko i Amazonki obecnie podobne budują sobie szałasy, a Jawajczycy szukają schronienia od tygrysów w chatach od ziemi prawie odosobnionych.

Człowiek zatem znajdował pośród jezior schronienie w którem mógł bez obawy szukać spoczynku po trudach swoich, a może też szedł i za pociągiem jaki woda wywiera na wszystkie ludy.

W roku 1853 i 1854, pierwszy Ferdynand Keller począł badać szczególne przedmioty odkryte przez ustąpienie wód Zurichskiego jeziora. Pale, kości, kamienie od ognia przepalone, naczynia rozmaitego rodzaju, jawnie mu okazywały istnienie jakiejś dawnej wioski. Inni naturaliści poczęli wyszukiwać podobne ślady i w prędkim czasie cała prawie Szwajcarya, Włochy, Islandya, Kanada, Nowa Gwinea i wyspa Vaigion, dostarczyły mnóstwo dowodów przekonywających o istnieniu licznych plemion ludzkich, które zamieszkiwały te kraje zanim one miały swoją historyą. Obecnie odkrycia owe tak dalece się rozpowszechniły we Francyi, Włoszech, Niemczech, Belgji i u nas nawet, że pewność co do istnienia człowieka kopalnego, zrazu przez wszystkich odrzucana, dziś bez zaprzeczenia przez wszystkich prawie uczonych jest przyjętą.

Zrozumieć łatwo iż ludzie pierwotni zewsząd niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju otoczeni, a mało środków do obrony mający, w miejscowościach w jeziora obfitujących, budowali sobie mieszkania na palach; w których znajdować mogli schronienie przed napadami zwierząt drapieżnych albo też i nieprzyjaciół. Za pomocą swych jakkolwiek ciężkich i niezgrabnych czółen, mogli się przenosić na wszystkie miejsca nadbrzeżne, w wodach jeziora tuż przy mieszkaniach znajdować pożywienie. A może też jak mówiliśmy, ulegali tylko wpływom jakie woda wywiera pociągając ludy ku sobie, widzimy to bowiem w Nowej Gwinei, gdzie mieszkańcy nie z innego powodu chaty swoje stawiają na palach w jeziora wbijanych.

Ślady tych zaginionych osad są tak liczne, że można w myśli odbudować sobie te jeziorne mieszkania, zwłaszcza w Szwajcaryi. Dotąd jeszcze w przezroczystej wodzie dają się widzieć pale równolegle wbite lub czasem bez porządku sterczące, deski poczerniałe, dachy przedstawione przez warstwy trzciny albo słomy. Kamienie ogniska, naczynia gliniane, kupy mchu, które za łoża służyć musiały, niezgrabna broń krzemienna, wszystko to odnajduje się w mułach jeziora.

Po kilku tysiącach wieków możemy podziwiać to szczególne nagromadzenie małych szałasów, skupionych na jednym pomoście nad wodami jeziora wyniesionym. Wyobrażamy sobie te brzegi puste prawie, niewielką ilością zwierząt domowych tylko ożywione; te milczące lasy, których olbrzymie i gęste drzewa ponurym cieniem osłaniające ziemię, w których człowiek zamieszkać się nie odważał. Na wodach przeciwnie, wre ruch i życie czynne. Dwieście do trzystu chatek zdają się unosić nad płynną powierzchnią; dym ognisk wznosi się w powietrze, ludność krząta się na pokładzie, czółna tu i owdzie się przesuwają; woda zda się być przyrodzonym siedliskiem człowieka, który bodaj czy nie od bobrów, niezmiernie wówczas obfitych, brał pierwszy wzór dla swych budowli.

Widok szczątków tych mieszkań pierwotnych wprowadza nas w podziw niemały, zwłaszcza zwróciwszy uwagę na brak narzędzi, na siekiery kamienne, za pomocą których dokonywano wszystkie prace około ich wzniesienia. Potrzeba było wyrabiać narzędzia ścierając kamienie jedne o drugie, otrzymując tym sposobem powolne i niedostateczne rezultaty. A jednak ścinano całkowite drzewa, zaostrzano pale, kłody łupano na tarcice, i wkrótce plemiona jeziorne z głębi wód wznosiły mieszkania swoje, otaczały je ostrokołami, urządzały schodki do wody sięgające, z których wsiadały do czółen swoich z jednej kłody drzewa za pomocą ognia wyżłobionych. Nadto kopali oni rowy na brzegach w celu zabezpieczenia swych zwierząt domowych od napadów zwierząt dzikich, wznosili groby i pomniki religijne na sąsiednich wzgórzach, oddając się jednocześnie rybołowstwu, polowaniu i wojnie. Uprawiali ziemię, jak tego dowodzą ziarna, pszenicy, lnu i jęczmienia w osadach nawodnych znajdywane, innych narzędzi oprócz wyrobionych z kości i kamieni zupełnie do tego nieużywając. Jakiejże to cierpliwości potrzeba było aby wyrobić tę broń i te narzędzia, osadzić je, odostrzeć wyszczerbione! Kamień nie mógł być obrobiony jak tylko drugim kamieniem: z trudnością przychodzi pojąć, jak ci niespracowani robotnicy mogli wykończać ostrza noży i grotów krzemiennych, tembardziej jeżeli szło o wyrobienie ich z twardszego kamienia, naprzykład z kryształu górnego, gdyż i takie się napotykają.

Topory i narzędzia kamienne ważną grały rolę w pierwotnym przemyśle; to też w ogromnej ilości znajdują je w pokładach czwartorzędnych wszystkich krajów i w jeziorach Szwajcaryi. Materyał ich, a bar dziej jeszcze kształty, różnią się odnośnie do narodów, zwłaszcza topory szwajcarskie mają właściwe sobie cechy. I w tem nie ma nic dziwnego; od dawna geologowie przekonali się, że wiadomości ludzkie nie w równej stały mierze w tejże samej epoce w rozmaitych stronach Europy. Prąd cywilizacyi płynął wtedy niezmiernie powoli i wieki mijały, zanim najmniejszy postęp z południa Europy przeszedł do zimnych krain Północy.

Topor nie jest jedyną bronią ludów jeziornych, w wielu miejscowościach znajdują krzemienne groty większe i mniejsze, jedne do dzid i oszczepów, drugie do strzał służące, które zapewne na mocnych trzcinach osadzano. Proca także musiała być w użyciu, gdyż w jeziorach Szwajcaryi przy osadach nawodnych, znajdują mnóstwo kamyków wyraźnie dobieranych ażeby procą mogły być ciskane. Musieli oni częste prowadzić wojny i byli biegli w tej nieszczęsnej sztuce, gdyż znajdują kule palne z gliny i węgla ulepione, które rozgrzane do czerwoności zapewne z procy rzucano na chaty nieprzyjaciół, dachy ze słomy i trzciny zapalały się łatwo a przy skupieniu szałasów i osada cała łatwo z dymem poszła.

Oprócz tego wojowniczego instynktu, dają nam się spostrzegać w zarodkowej inteligencyi człowieka pierwotnego i pokojowe upodobania, lubi on rolnictwo i przemysł, czego dowodem są owe płaskie krzemienie w zęby wyrobione, zwykle w róg osadzone jako piłki, noże, nożyki, skrobaczki, igły, osełki do ostrzenia złobkowato z piaskowców wykute i t. p. Wszystkie te przedmioty nie są bynajmniej narzędziami zniszczenia, ale prawdziwemi narzędziami pracy.

Oddany najprzód polowaniu i rybołowstwu, jak o tem świadczą resztki sieci wiązanych z lnianego przędziwa, w osadach nawodnych Szwajcaryi znajdywane, człowiek wkrótce oddaje się uprawie roli: otacza się zwierzętami domowemi, pije mleko trzód swoich, żywi się ich mięsem, runem ich się odziewa. Spostrzega iż ziemia nic nie odmawia cierpliwej pracy a wspaniałomyślnie wynagradza tego co się jej oddaje. Postęp to niezmierny, z którego już wszystkie inne wypływają. Uprawa pól zapewnia obfitość i dozwala człowiekowi odpoczynku; skutkiem tego rozmyślanie; ręce mniej pracują, myśl działać po czyna, rozbudza się inteligencya, wkrótce pojawi się zastanowienie, zdolność porównania i dochodzenia, sztuki i nauki z nich pochodzące ukażą się niedługo.

Ale ileż to niepewności, ile niepowodzeń i próżnych mozołów, zanim najmniejszem odkryciem dorzucono li chy kamyk do pomnika postępu! Ileż wieków musiało upłynąć zanim człowiek stanął na pierwszym szczeblu cywilizacyi, zanim jego inteligencya dozwoliła mu wznieść się po nad zwierzęta, których wyższość zrazu tak widoczną była? Przez jak długi przeciąg czasu, nim się nauczono kleić mieszkania z chrustu, architektura ludzka niższą być musiała od przemysłu mrówek, pszczół, bobrów i t. p., które były dla niej tak cennym przykładem? Człowiek bowiem nie miał w początkach innego schronienia nad pieczary i naturalne jaskinie!

Skoro po wojnach spokój się ustalił nieco, pomysły ludzkie coraz nowe rodzą dobrodziejstwa: w ślad za rolnictwem niedługo i handel się pojawia. Przedmioty zdaleka pochodzące, nefrót ze Wschodu, bursztyn z nad brzegów Baltyku, cyna z Anglji, znajdywane pośród osad jeziornych, są dowodem zamian już się prowadzących pomiędzy plemionami ludzkiemi. W jutrzence cywilizacyi zdaje się iż Fenicyanie byli pierwsi, którzy przyjęli sobie jakby za zadanie

zwiedzić i zbadać powierzchnię globu. Ci zuchwali żeglarze na prostych łodziach nie lękali się puszczać na fale oceanu, umieli walczyć z burzą i śmiało stawili jej czoło aby biedz na podboje krajów dalekich.

(d. n.)

GDZIE TY...

Pieśń.

Gdzie ty,—tam myśl i serce moje,
Tam cały duszy mojéj chór;
Gdzie ty,—tam z pieśnią marzeń zwoje
Płyną, jak zgodny nieba wtór.

Upajająca harf szczebiotko,
Gdzie ty, tam nikną chmurne mgły;
Kochanko kwiatów, snów pieszczotko,
Tyś szczęściem mojem, życiem ty!

Tęsknotę, boleść, niepokoje
I żal serdeczny, zwątpień kres...
Spojrzenie jedno pali twoje,
Z niebieskich ogniów gwiazdo łez!

I gdy w zczerniałą myśl żałobą
Widma przeklęte cisną się....
Gdzie ty,—ja z tobą, zawsze z tobą,
Oj! bo bez ciebie tak mi źle.

Gdzie ty, tam myśl i serce moje,
Tam cały duszy mojej chór;
Gdzie ty, tam z pieśnią marzeń zwoje
Płyną, jak zgodny nieba wtór.

F. M. Eysymont.

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Po owej pamiętnej niedzieli i śniadaniu, które pani z Villamarinich odchorowała — bo, jak to Filipowicz zawczasu przewidywał — zawsze jej wino szampańskie szkodziło — a miała słabość do niewdzięcznika!! po tej tedy niedzieli — oczekiwano jakiegoś skutku w poniedziałek i słówka od mecenasa Borusławskiego. Tymczasem Mecenas cały ten dzień przesiedział w kancelaryi, wieczorem poszedł spokojnie na swoją partyę szachów — i wcale o sobie znać nie dał na pensyę.

Nie nalegano, na pewno już spodziewając się że wtorek coś przyniesie. Rano tego dnia przygotował nawet administrator śledzia i przekąskę, na wypadek przybycia Mecenasa, ale Mecenas się nie zjawił, i wieczorem na herbatę także.

Filipowicz utrzymywał, że niezmiernie był zajęty, że z resztą widzenie się z osobami, wysoko w hierarchji społecznej położonemi, nie było tak łatwem, wymagało może pewnych ostrożności, i że zapewne zjawi się we Środę... Tego dnia, już pani z Villamarinich zaczynała prychać, i mówiła że nieprzyzwoitem było ludzi trzymać *le bec dans l'eau* niecierpliwiła się, gniewała. Mąż czynił jej uwagi, całował po rączkach, a to nie pomagało. Owszem im ją więcej uspakajano, tem się stawała niespokojniejszą.

Gdy we środę po ósmej godzinie wieczorem, znikła wszelka nadzieja przybycia pana Borusławskiego, Filipowicz ofiarował się nazajutrz pójść do Mecenasa i zręcznie go wybadać. Rozgniewana pani zakazała mu ten krok bez jej zezwolenia uczynić pod karą najwyższej swej indygnacyi, znajdując że nie powinni byli okazywać niecierpliwości. Filipowicz był posłuszny, a czwartek zszedł zupełnie tak jak dnie poprzedzające. Przybyła na herbatę Ciocia Baronowa, która tego dnia miała upartą czkawkę, i ciągle się ratowała miętowemi cukierkami, których woni znowu nie mogła znieść pani z Villamarinich, zaczynała się już lękać — Maks chodził pogrążony w myślach — w całej pensyi odbijał się zły humor jej naczelników. Nie umiano sobie wytłomaczyć milczenia.

Jedna panna Tekla była jakoś spokojną, a nawet, dosyć wesołą.

W piątek, widząc że już dłuższa cierpliwość do niczego nie doprowadzi, administrator postanowił ukradkiem udać się do Mecenasa.

Nie była to rzecz łatwa, gdyż pani utrzymująca kasę, ścisłą także kontrolę miała nad godzinami małżonka i oddalić mu się nie dozwalała, bez ważnych powodów. Musiał więc skłamać i wykazać niezbędną potrzebę porozumienia się z rzeźnikiem, dostarczającym mięsa do kuchni. Od niejakiego czasu stosunek jego do kości, fatalniej coraz się zmniejszał... Kości brały górę, a płaciło się za nie, jak gdyby zawierały najpożywniejsze części. Go towano z nich wprawdzie buljony, lecz za drogo one kosztowały. Filipowicz uchwycił tę administracyjną potrzebę, aby pod jej pozorem dobiedz do Mecenasa.

Skłonił go do tego i pan Maks, który był bardzo zgryziony. Filipowicz więc puścił się szybkim krokiem wprost do kancelaryi. Lecz, nie wiodło się nieborakowi — minuty miał wyliczone, a w pokoju przed kancelaryą dwóch klijentów czekało, mających prawo poprzedzić go na posłuchanie. Ale — cóż miał czynić — siadł cierpliwie. Próba skaptowania dwuzłotówką wytartą starego sługi, zupełnie się nie powiodła.

Biło pół do dwunastej, gdy nareszcie wpuszczono go do pokoju z meblami czarnym włosieniem okrytemi. Borusławski w okularach siedział nad papierem, zobaczywszy go, wstał, przywitał, na zegar spojrzał, ale—co już było złym znakiem — zdawał się nie domyślać nawet, po co przyszedł profesor.

Filipowicz, zawsze porywczy, nie siadając nawet, chwycił go za rękę.

— No cóż, co? Mecenasie, dobrodzieju, jak się zowie? Czekamy! palimy się — rozciekawieni jesteśmy... jaka też rezolucya?

Borusławski obie ręce zwolna począł podnosić, spodnia warga mu się wydęła, zrobił minę dziwną, czmychnął, i nic nie powiedział.

— Więc — jakże — tego — jak się zowie? Widzieli go w kościele? hę? zapytał profesor.

— Myślę że widzieli — rzekł Mecenas.

— I jakże się podobał, bo, jużcić, nie można powiedzieć... jak się zowie — tego...

Profesor wymownym ruchem dopełnił niedokończonego frazesu — a Mecenas powtórzył pierwszą swoją mimikę niezrozumiałą.

— Więc cóż?

— A — nic — nic — tak — nie mam żadnej odpowiedzi — rzekł cicho Borusławski, jakoś widocznie zmieszany.

Filipowicz przyskoczył i gwałtownie pochwycił go za ręce obie.

— Na miłość Bożą! Mecenasie dobrodzieju—co to ma oznaczać?

— Ja — nie wiem co to ma znaczyć! rzekł spokojnie Borusławski.

— Ale, przecież — znając osoby — czyli osobę— jak się zowie — zawołał profesor — pan musi domyślać się, wnioskować... dorozumiewać, apretendować??

— Nie wiem, istotnie nic — nie wiem — rzekł chłodno Mecenas.

— Przecież, panie Mecenasie, żywo bardzo począł profesor — czynię go samego sędzią... kazano się młodzieńcowi, gdyby na musztrę stawić na okaz do kościoła, poszedł, stał... i — jak się zowie... tydzień niemal upływa... głucho...

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Ze swej cytaty Filipowicz uszczęśliwiony tak się zaczął śmiać głośno, co w kancelaryi widać uważało się za nadużycie — iż Borusławski aż na drzwi spojrzał niespokojny — to profesora od dalszego wybuchu wstrzymało i głos nawet zniżył, pytając:

— Cóż tedy?

Borusławski ramionami ruszył, ale przyparty pytaniami, rzekł wreszcie.

— Pozwól sobie powiedzieć kochany profesorze, że—jeśli wam panna Tekla nie przykrzy się, cóż macie znowu za interes spieszyć się z pozbyciem jej?? hę?

Profesor aż podskoczył.

— Nam! panna Tekla, przzkrzyćby się miała! Ale— któż — co za powód mógł myśl taką poddać — my ją kochamy, wielbiemy, my byśmy się z nią nigdy rozstawać nie chcieli! Nam, żeby ona ciężyła! Mój Boże! jak się zowie — darujesz pan! co za idea! Lecz jej szczęście, jej los, jej przyszłość, jej dolę mamy jedynie na względzie, na uwadze, w konsyderacyi.

Profesor gdy bardzo chciał być wymownym, używał zwykle do przesytu tej krasomówczej figury.

Borusławski znudzony widocznie oddarłszy od papieru kawałek, zwijał go w palcach i rozwijał niecierpliwie...

— Być bardzo może — odezwał się, jakby chcąc pozbyć się natręta, że—chcą się rozpytać, dowiedzieć, stan majątkowy... to wszystko wymaga czasu...

— A a a! rzekł Filipowicz — to rozumiem.... Między nami mówiąc (tu się obejrzał) majątek piękny, a co się tyczy długów, jak się zowie... może jakie i są — to zrażać nie powinno. Płaci się panie długi młodości!

Tu rozśmiał się Filipowicz, a Mecenas już się do jakichś zabrał papierów. Pan mi daruje.

Zbywał go widocznie.

— Więc mamy czekać cierpliwie? pytał żywy Filipowicz.

— Ja myślę — ja myślę! zakończył Borusławski i postąpił ku drzwiom — co zniewoliło i gościa do wynoszenia się z pokoju. Zaczął szastać mocno nogami, kłaniać się, ściskać, i z zafrasowaną bardzo twarzą, wyleciał z kamienicy.

Jakim sposobem i zkąd mógł dowiedzieć się pan Maks Rabsztyński o bytności swojego przyjaciela u Mecenasa — trudno dobadać, dosyć że znalazł się tuż na trotuarze i zdumionego powitał, rozbrajającem słowem na ucho...

— Śledzia i porteru!

Rozśmiał się administrator, ściskając go.

— Poczciwe, szlachetne serce... słowo honoru...

Przy Miodowej, jak wiadomo, naprzeciw Sprawiedliwości, jest taka przyjemna dziurka, gdzie się zawsze znajdzie śniadanko skromne, napój orzeźwiający i arkusz czystej bibuły, do otarcia palców, a choćby i łez, po przegraniu sprawy. Tu weszli.

Przed śledziem napili się wódki... wódka nigdy dla polskiego żołądka zbyteczną nie jest.

— No cóż? spytał Maks.

— Dyabli go wiedzą! zawołał profesor. To Sfinks... ja mówię — to Sfinks... to zamknięta — z pozwoleniem —, bestya — ten Mecenas... (Tu głos zniżył). Zdaje się że chcą wprzódy nim coś powiedzą, o majątku dokładniej... jak się zowie.. tego...

Podano śledzia, i profesor resztę zjadł z nim, ale Maks zrozumiał połowiczne wyrażenie, i przybrał postawę niemal draśniętego człowieka.

— A! niech sobie śledzą! rzekł, czegóż oni mogą wymagać—panie dobrodzieju? czego? (Poruszenie zaczynało czynić go wymownym). Majątek jak wół! odłużony! To właśnie czego potrzeba! Płacę długi, bodaj i posagi siostrom, intabuluję się z posagiem panny Tekli — i są spokojni? Prawda? Czego mogą lepszego wymagać? hę?

Rozumowanie było tak przekonywające, jasne i dobitne, że Filipowicz, pierwszą szklankę porteru wypiwszy, uścisnął go i zawołał:

— Jasne jak słońce! słowo daję! jasne jak... co się zowie... i tego...

— Hm! mruknął z głębokiem przekonaniem Filipowicz.

Byłby może co powiedział profesor, ale w tejże chwili zbliżył się skromny młodzian, pan Emil, i szepnął na ucho Maksowi.

— Bądź łaskaw mnie zaprezentować panu profesorowi Filipowiczowi.

Odmówić nie mógł Rabsztyński.

— Mojego szkolnego kolegę — i przyjaciela, pana Emila Drażaka — mam honor.

— Bardzo mi przyjemnie! rzekł profesor.

— Od dawna życzyłem sobie mieć szczęście zbliżenia się do pana profesora — odezwał się Emil, chwytam tę zręczność.

— A bardzo! jak się zowie! odparł rozczulony Filipowicz — bardzo — tego.

Ale — prawdę rzekłszy — nie rozumiał dobrze, na coby temu panu zdała się jego znajomość i myślał może o tem, gdy Emil podchwycił.

— Gdy już jestem tak szczęśliwy — to pozwolą panowie — pan profesor — wypić jeszcze buteleczkę porteru ze mną.

— Jakiś bardzo zacny człek — pomyślał profesor — przyzwoity w obejściu się.

Podano porter. Rozmowa się ożywiła, pan Emil przyznał się że rad był ze światłych uwag profesora korzystać, pracując nad dykcyonarzem. Filipowicz z którego światła nigdy nikt nie miał ochoty czynić użytku, nawet pensyonarki, które go nie słuchały, uczuł się pochlebnie połechtanym.

Skończyło się na tem, że gdy po śledziu i porterze wyszli, a Maks kwaśny pospieszył do Ciotki, pan Emil ofiarował się przeprowadzić profesora.... i w ciągu podróży na Nowy Świat, ujął go niezmiernie... Zgadało się nawet i o tem, że gdyby kiedy lekcye jakie ciężkiemi były dla strudzonego administratora — pan Emil przez gwałtownie dlań powzięty szacunek — gotów by je był za niego — dawać darmo!!

Po porterze częstokroć serce się otwiera — i nie dziw, że rozstając się Filipowicz z Emilem byli w najlepszym świecie stosunku. Profesor mówił sobie po cichu że — skarb znalazł, bolał tylko nad tem, że żona jego i panna Eufrozyna, tak były względem młodzieży niedowierzające.

Gdy wrócił i zmuszony został prawie natychmiast stawić się przed żoną, śledczego jej oka nie uszły porterowe kolory i pewien rodzaj ekscytacyi nerwowej, jakiej uległ profesor.

— A już...

— Ale nie...

— Kiedy *ja* mówię!

Profesor westchnął tym despotyzmem przygnębiony.

— Jak można tyle czasu strawić u rzeźnika?

Filipowicza twarz przybrała wyraz dyplomatyczny.

— Byłem u Mecenasa! rzekł śmiało zatarłszy włosy.

I stanął wyzywająco, ręce włożywszy pod poły.

Pani z Villamarinich stała chwilę niema. Cóż on mówi? co mówi?

— Hm! ba! żeby on gadał — odezwał się Filipowicz. To Metternich! to Macchiavel! Nie mówi nic — a ostatecznie, wiesz duszko, co mi powiedział? *Ipsissima verba.*

— Co co? cóż to znaczy! przerwała pani brwi ściągając.

— Po łacinie — jego właściuteńkie słowa. Czy państwu pilno pozbyć się panny Tekli?

Pani zmilczała długo.

— A no, tak! ma słuszność — między nami mówiąc — dodał profesor cicho. Bierze się jakie tysiąc złotych więcej od niej niż od innych... a prezenta... Maks wielkiej rzeczy nie da, a Baronowa też... więc po cóż się dla nich sakryfikować?

Gospodyni milczała długo... nie raczyła odpowiadać.

— A zdaje się — dokończył profesor, że oni przeciągają odpowiedź, chcąc stan majątku pana Rabsztyńskiego na czysto mieć... Ma długi... e! ma długi! dodał zbliżając się do żony — ale tłomaczył mi bardzo jasno, że nie może być nic szczęśliwszego nad to... Spłacają długi i wchodzą z posagiem na majątek. Ot co!

Wejście Baronowej, która na chwileczkę chciała, pozdrowić przyjaciołkę, przerwało rozmowę, Filipowicz się wymknął, idąc gorliwie administrować. Po wódce i porterze był nieubłaganym — zaglądał do rądlów, egzaminował tłustość zbieraną w garnki dla zastępowania masła... domyślał się kontraband kucharki, hałasował. I tą razą dostało się służbie straszliwie... lecz, po za plecami śmieli się z biedaka i figi mu pokazywali. Nikt go tak bardzo nie brał na seryo.

Przyjaciołki, niemające dla siebie tajemnic, siadły na kanapce i długo rozmawiały po cichu... Obie były zafrasowane. Baronowa szczególniej ubolewała nad losem Teklusi.

A gdy się to działo w salonie i kuchni, na trzeciem piętrze na przeciwko w otwartem oknie, stał z rękami na piersiach założonemi zamyślony autor przyszłego dykcyonarza, i patrzał na owe okno pierwszego, w którem mu się czasem ukazywała w promieniu główka i oczy lazurowe... i smutny uśmieszek.

Stał tak, gdy okno pierwszego piętra zapuszczone i zamknięte otworzyło się powoli... ostrożnie pokazała się w niem twarzyczka jasna... potem siadła panna Tekla i zaczęła patrzeć ku górze, a Emil ku dołowi—i tak się okrutnie zatopili w tej niemej rozmowie... że panienka nie posłyszała ani otwierających się drzwi, ani wchodzącej na palcach Marysi Rzepczakównej.

Ciekawe dziewcze zdala stanęło po cichutku za Teklą i za jej wejrzeniem pobiegło oczyma ku górze... zobaczyło Emila... twarz Marysi śmiertelną się bladością okryła, potem ognistym rumieńcem, potem potarła dłońmi po twarzy, wróciła do drzwi, i — postarała się hałaśliwie niby wejść, aby przyjaciołce nie uczynić przykrości i wstydu.

Marysia miała dobre serce i delikatność wrodzoną, której nauczyło ją może właśnie to grubijaństwo, co ją otaczało w dzieciństwie. Nie dała po sobie poznać wcale że odkryła wielką tajemnicę: czule, drżąco, prawie ze łzami uściskała przyjaciołkę, siląc się na wesołość, gdy w istocie serce się jej ściskało.

— Musiałam trochę otworzyć okno — odezwała się zmieszana nieco Tekla, bo tak dziś gorąco.

— Gorąco — gorąco! machinalnie wachlując się odezwała Marysia. Cóż u ciebie słychać?

— Nic a nic...

— Mecenas nie dał znać? spytała Rzepczakówna, która zarówno jak Tekla o wszystkiem wiedziała, bo się panie wypaplały.

— Tekla się uśmiechnęła spokojnie.

— Ten poczciwy Borusławski, rzekła, myślę że się bardzo spieszyć nie będzie. Ja mu powiedziałam całą prawdę. Uważałam z niego jednak że chcieliby mnie wydać za mąż, że uważają to za konieczność — ale, może przecie nie zmuszą!

— Przynajmniej nie za pana Maksa! żywo poczęła Marysia — to lalka... a w dodatku wiem bo słyszałam od osób co dobrze wiedzą — ten Maks nie ma nic... wszystko stracił.

— A to chwała Bogu! w ręce uderzając zawołała Tekla... tem lepiej — tem lepiej!

Marysia długo popatrzyła jej w oczy... i uściskała ją jakoś rzewnie.

— Kochasz innego? szepnęła jej na ucho.

— Ja? zmiłuj się! poczęła czerwieniąc się sierota — ja...

— Ale przede mną, przed całym światem, tajemnica — nieprawdaż?...

Przed światem, to dobrze — a przedemną, nie, bo ja cię kocham — no — i jabym się może na co przydała.

Niezmiernie poruszona Tekla zerwała się z siedzenia.

— Zkądże to wszystko? zaczęła niespokojna... proszę cię...

— Mój palec... choć go małym paluszkiem nazwać nie mogę, śmiejąc się i pokazując duże ręce swoje — rzekła Marysia — mój palec mi to powiedział.

Tekla stała jeszcze zmieszana i milcząca, gdy z nowym uściskiem przypadła do niej Marysia — miała w oczach łzy.

— A! tak! ja wiem... wy się z Emilem kochacie... ja wiem, nie zapieraj się to byłoby naprożno! Tak powinno było być — musiało. Dwie takie śliczne dusze przeczuć się i pokochać musiały...

Tekla zakryła sobie oczy i jak złamana rzuciła się na krzesło... nie mówiąc nic, serce jej biło mocno, tchu brakło...

— Zkądże? moja Marysiu... niech Bóg uchowa — ja nic nie wiem... Ja go nie znam — tylko przez ciebie.

— I przez okienko... szepnęła Rzepczakówna.

Na to, oprócz rumieńca nie było odpowiedzi, a Marysia jak w gorączce, mówiła żywiej coraz...

— Emil, ty wiesz, codzień do mojego ojca przychodzi do stołu, bo u nas się stołuje... widuję go, spotykam... Mogę mu powiedzieć co każesz, odnieść ci co on mi poleci.

— A niech Bóg broni! odezwała się Tekla chwytając ją za ręce... Zlituj się... ja nie chcę...

— A zbliżyć się przecie potrzeba, kiedy już... znacie się dawno i szukać sposobów...

— Przynajmniej nie ja pierwsza — oburzyła się Tekla.

— To prawda... masz słuszność, ale że też ten

człowiek nie miał odwagi nigdy mnie o to zaczepić?

— Ależ miłość powinna być tajemniczą, między Bogiem a temi co się kochają — przerwała ośmielając się Tekla, czyż ty nie czujesz tego że...

— Czuję, rozumiem! zrywając się i biegając po pokoju zaczęła Marysia — wszystko to prawda... Nie ma sensu w tem co mówię — a — takbym was chciała widzieć szczęśliwych!!

Złożyła ręce i oczy podniosła ku niebu.

Teraz Tekla pobiegła ją uścisnąć i popłakały się w swych objęciach. Marysia nie powiedziała już słowa... siadły obok siebie i dumały. Po chwili dopiero Rzepczakówna cicho poczęła znowu pochwały Emila.

— Takiego drugiego nie ma — mówiła — ojciec mój, wszyscy co się z nim spotykają, szanują go i kochają. A dobry jest... a miłosierny, a rozumny i dowcipny. Parę razy z drugiego pokoju słyszałam, gdy się rozgadał z artystami, którzy do nas też przychodzą gdy im pieniędzy zabraknie... Umie wiele... ja myślę że wszystko umie.

— Ale ty bo się sama w nim kochasz! nagle zawołała Tekla.

Marysi krew uderzyła do twarzy.

— Ja? krzyknęła — ja? albom ja to pomywaczka godna takiego człowieka? ja? A! moja Tekluniu... moje serce za młodu uwiędło... ty nie wiesz jaką była przeszłość moja, póki mi nieszczęścia, łzy nie otworzyły oczów. Ja? ale ja nigdy kochać nie będę w życiu — bo — ja tego nie umiem. Nadto wcześnie widziałam wszystko...

Zapłakała Marysia, i wnet oczy otarła żywo.

— Taką jak mnie widzisz, dodała — jestem dumną gdyby szatan... dla tego kochać nie będę. Ale ty, aniele mój czysty, ani zrozumieć tego nie potrafisz, ani trzeba byś to pojmowała... ty marz — śnij i kochaj.

— Moja droga Marychno — przerwała Tekla smutnie. Tobie się zdaje że ty jesteś nieszczęśliwszą ode mnie. Ale ty masz ojca — dom — ty nie chodzisz jak ja w ciemnościach, ty wiesz kim jesteś — a ja? a ja?

I popłakały się dziewczęta i ściskały jeszcze i szeptały znowu.

Tym co te dni młodości przeżyli, co zapomnieli jak naówczas przyjaciel drogi, jak zwierzanie się potrzebne, jak wymiana uczuć i myśli konieczna — wyda się może dziwnem to zbliżenie dwóch istot... i nienasycone pragnienie wypowiadania sobie co po duszy się błąka... Dla Tekli i Marysi były to przecież najszczęśliwsze życia chwile — i tęskniły po tem za sobą, a czekały ich powrotu licząc godziny...

Stanęło na tem przecież, że się Tekla do wszystkiego przyznała. To wszystko właściwie było niczem — patrzyli ku sobie i uśmiechali, on czasem kładł rękę na sercu, ona na czole... Trzymała raz kwiatek w ustach... i pan Emil o mroku podsunął się na trotuar, a kwiatek jakoś spadł mu na ręce i on go ucałował. Widziała to i uciekła. Marysia słuchała chciwie, musiała poprzysiądz tajemnicę, i zaręczyć że nawet sama o tem zapomni. Potem zakazanem jej było zbliżać się do Emila, zaczepiać go... mówić z nim, wywoływać... jakieś stosunki, wszystko to Marysia przyrzekła, ale co myślała — niepodobna było odgadnąć. Czasem miewała śmiech ironiczny jakiś..

W kilka dni potem Marysia wiedziała pierwsza i pobiegła o tem dać znać przyjaciołce, że pan Emil poznajomił się z profesorem, że Filipowicz pod niebiosa go wynosił, i że było niejakie podobieństwo do — przypuszczenia pana Emila do dawania geografji w niższych klasach... Tekla zrozumiała równie dobrze jak Rzepczakówna, do czego to zmierzało. Rumieniła się mocno i mówiła że się nadzwyczaj lęka.

— Czego bo ty się masz bać! odparła Marysia — gdybym ja była na twojem miejscu! o! o! ręczę ci inaczej by i żwawiej rzeczy poszły... Zmusiłabym go do oświadczenia się, potem napisała do Mecenasa — i uparła przy swojem... i postawiła na tem... Borusławski poczciwy wziąłby cię w protekcyą.

— Cicho! cicho! co pleciesz! co pleciesz! zamykała jej usta rumieniąc się panna Tekla. Proszęż cię... już nie mówmy o tem...

Po czwartej czy piątej buteleczce porteru i szklance ponczu... na które Filipowicz narażał się nieoględnie — pan Emil został wprowadzony jako bezpłatny (dla wprawy własnej) nauczyciel geografji klas niższych — i — w wynagrodzeniu dostał zaproszenia na wieczorne herbaty. Pani z Villamarinich uznała go — skromnym i przyzwoitym młodzieńcem.

— Daleko większy filut, niżelim się spodziewała, mówiła Marysia do przyjaciołki — prawda że w takiej sprawie przebacza się przebiegłość — a jednak... filut chłopiec.

Tekla usta jej zamykała, rumieniąc się niespokojna.

Aż w kilka tygodni — wieczorem na herbacie, gdy wyszła do saloniku, (o mało nie upadła w progu) zobaczyła pana Emila we fraku, bawiącego pannę Eufrozynę, która go ciekawie zdawała się decyfrować.

Tego wieczora jednak wcale się nie zbliżyli do siebie i ledwie patrzeć śmieli, aby się straszna tajemnica nie wydała.

Nieśmiałość pana Emila — zjednała mu starszych pań wielką sympatyę i pochwały.

— Bardzo poczciwy i przyzwoity! mówiła panna Eufrozyna — a co wiadomości!

— O, nie głupi! powtarzała gospodyni — i to lubię że z taktem... Choć to żadnej wielkiej familji, ledwie szlachcic — a jednak coś ma wcale szlachetnego.

Filipowicz tryumfował i ręce trzymał pod połami, a mówił sobie w duchu. A co? ha? a kto go wam w ulicy złapał...? Bo ja mam oko? jak się zowie. Ale te baby — żeby kiedy człowiekowi sprawiedliwość oddały — jeszcze się to nie okazało!!

Maks i Ciocia Baronowa, często przybywając na pensyę, dowiadywali się czy nie było co od Mecenasa, Borusławski milczał, Filipowicz nie śmiał się upominać — a młodzieniec zakochany poczynał się niecierpliwić.

Choć panna była śliczna nie tyle mu może szło o nią jak o to, że interesa były w bardzo złym stanie i że wszyscy mu radzili ożenienie.

— Przecież raz — niech się coś zdecyduje — mówiła Baronowa — jeżeli im dla takiej sieroty bez nazwiska Rabsztyńskiego mało!! a! no... jak sobie chcą! niech szukają czegoś lepszego, a nas uwolnią... Rabsztyński też sobie znajdzie, może i coś nad to piękniejszego!!

W istocie jednak panu Maksowi trudno coś znaleść było — nadto znano i jego — i księgi hypoteczne.

(d. c. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
po Szwecyi i Norwegji.

przez **Alberta Vandal.**

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

III.
UPSAL.

Obliczono że na jeziorze Moelar znajduje się wysp trzysta, ale któż zliczy niezliczoną ilość ciaśnin, międzymorz, zatok, małych przystani i przylądków, rozrzuconych po burzliwych wybrzeżach tego wewnętrznego morza Moelar. Przeciążone archipelagami, już to przedstawia się jak sieć rzek plączących się w różnych kierunkach, już to jak wspaniała kotlina przedstawiająca śliczną perspektywę z okien letniego królewskiego pałacu. W wodach tego jeziora odzwierciadlają się wieżyce Gripscholmu, perony Drottuingholenn i stoki Ulriksdalu.

Gripscholm, zamek feudalny, był zamieszkiwany przez wojowniczych książąt. W tych poważnych, surowych prawie salach, gdzie dziś rzędem porozstawiane zbroice wiekuiście stoją na straży, nie jedna rewolucya miała miejsce, a jej wieże służyły za więzienie nie jednemu zdetronizowanemu księciu. Wspaniały gmach Drottuingholenu jest ulubioną rezydencyą teraźniejszych monarchów a Ulriksdal, wzniesiony w najpoetyczniejszym zakątku zatoki, jest ulubionem miejscem pobytu monarchów artystów: zmarły nie tak dawno Karol XV, spędził w nim większą część życia. Mieszkańcy Sztokholmu, do Gripscholmu i Drottuingholenu chodzą na przechadzkę, do Ulriksdal odbywają pielgrzymki. Imie Karola XV ze czcią bywa wspominane i rzewne budzi wspomnienia w sercach jego poddanych; jest to jedna z tych postaci które karty dziejowe przekazują potomności owiane niewysłowionym urokiem. Tysiące anegdot i opowieści z któremi spotykaliśmy się na każdym kroku, kazały nam podzielać uczucia żalu Szwedów nad przedwczesną śmiercią tego sympatycznego króla, tak umiejącego zyskiwać sobie ogólną miłość swych poddanych.

Od strony jeziora, Ulriksdal podobny jest do villi włoskiej, ubarwnionej na różowo na tle liści północną odznaczających się świeżością. Na zewnątrz wygląda jak dom dość zwyczajny, wewnątrz znajdujemy piękne muzeum: znać że prawdziwy artysta kierował urządzeniem tych sal, w których nagromadzone są arcydzieła, bez odróżnienia wieków i narodowości. Starożytne posągi przyglądają się flamandzkim obrazom; florendzkie skrzynki stoją naprzeciw lakowych szafeczek japońskich; starożytni żołnierze, norwegskie wyroby, przepyszne kufle, puhary, stoją obok ścian wybitych wyciskaną skórą kordubską. Ta różnorodność piękna, ten inteligentny eklektyzm, nie dopuszczają znużenia, które często w muzeach nie dozwala nam dość podziwiać nagromadzonych przedmiotów: wszedłszy tam zdaje nam się że przebiegamy czarodziejskie królestwo fantazyi.

Pewnego dnia dwóch turystów angielskich przechadzało się pod cieniem drzew Ulriksdalu; chcąc zwiedzić pałac zwrócili się do jakiegoś spacerującego pana którego spotkali na zakręcie ulicy i wzięli za miejscowego majordoma. Spotkany zgodził się uprzejmie na objawione żądanie, wprowadził do pałacu, oprowadzał po nim dwie godziny i jak naj-

szczegółowiej pokazywał i objaśnił wszystko. W salach historycznych wskazał im łóżko na którem sypiał Gustaw-Adolf podczas kampanji w Niemczech; opowiedział dzieje każdego klejnota, każdego drogocennego sprzętu, obrazu i t. p., sporządził akt cywilny każdego arcydzieła. Nareszcie wprowadza ich do sali obrad, urządzonej w stylu XVI wieku; do uzupełnienia złudzenia brak tu tylko z półtuzina radzców w kryzach i kaftanach. Przepysznie rzeźbione szafy, na rozścież przed nimi otwierają swe podwoje i zdumionym ich oczom ukazują nieocenione skarby. Zwiedziwszy i obejrzawszy wszystko turyści pytają uprzejmego *cicerone* o jego nazwisko i dostojeństwo. „Jestem, odrzekł Karol XV, król Szwecyi, Norwegji, Gotów i Wandallów.“

Przez cześć dla pamięci zmarłego króla, Szwedzi pozostawili tu wszystko jak było gdy tu przemieszkiwał otoczony gronem uczonych i artystów w których towarzystwie przebywać lubił. W Ulriksdalu, jak niegdyś w Amboise, malarze, poeci, rzeźbiarze, przyjmowani byli jak przyjaciele i koledzy: Karol XV był malarzem i poetą. Zatrzymałem się z poszanowaniem przed niedokończonym na stalugach rozpiętym obrazem, pod którym dostrzegliśmy podpis królewski „Karl“, następnie upatrywałem czy na szybach nie znajdę jakichś wierszy wypisanych brylantem.

Najważniejsze wspomnienia z dziejów szwedzkich przywiązane są do wybrzeży Moelaru. Udając się ze Sztokholmu do Upsalu, napotykamy sterczące zgliszcza starożytnego grodu Sigtuna. Nazwa tego miasta często się powtarza w epicznych opowieściach starożytnej Szwecyi. Rusini zniszczyli je ze szczętem w XII-ym wieku, a srebrne bramy miasta znajdują się dziś w cerkwi w Niżnym Nowogrodzie, pod byzantyńską kopułą. Nieco dalej wyłania się z zieleni pałac Skokloster, wspaniały gmach godzien monarchy. Od wieku już przeszło pałac ten jest własnością jednej z tych patrycyuszowskich rodzin, które przepychem i dumą dorównywają monarchom. Założycielem jego był marszałek Wrangel; tu on odpoczął po trzydziestu odbytych kompaniach, tu złożył zebrane w Niemczech trofea. Widzieć tu można dwa portrety owej słynnej Ebba Brahé, w której kochał się Gustaw-Adolf. Jeden przedstawia młodą wysmukłą dziewicę, z poetycznem wejrzeniem czystem czołem i przezroczystą cerą; to Ebba Brahé, narzeczona bohatera. Drugi portret, przedstawia dojrzałą już, nieco otyłą matronę, w której twarzy widnieje praktyczny zdrowy rozum, w postaci powiększająca się tusza; to Ebba Braché, żona bogatego właściciela i matka dziesięciorga dzieci. Pod tym drugim portretem możnaby podpisać: „W trzydzieści lat potem.“

Otóż wybrzeża się zwężają; jezioro przechodzi w rzekę. Po obu stronach ciągną się szeregiem niskie pstre domy: jesteśmy w Upsalu, słynnem uniwersyteckiem mieście.

Zbliżając się do tej spokojnej dziedziny nauki, w której Lineusz mógł przez lat dwadzieścia zatapiać się w rozpatrywaniu i analizowaniu źdźbła trawy, spodziewaliśmy się spotkać ciszę i skupienie ducha, właściwe poważnej nauce; prawie chciałoby się stąpać na palcach aby nie zakłócić spokoju akademickich obywateli. Jakież było nasze zdziwienie, zobaczywszy że całe miasto przywdziało świąteczne szaty i zajmuje się obchodem jakiejś uroczystości. Wszystkie okna przystroiły się w pokrzyżowane gałęzie; poruszane wiatrem chorągiewki i wstęgi wiją się w powietrzu; zdala dochodzi nas huk wystrzałów armatnich. Po ulicach przesuwają się liczne tłumy, wśród których uwijają się jak motyle, kaszkieciki niebieskie, czerwone, czarne a szczególniej białe. Przerywając na dni kilka swą spokojną pracę, Upsal obchodzi zbierający się peryodycznie kongres studentów pięciu uniwersytetów skandynawskich znajdujących się w Kopenhadze, w Christianji, w Lund, Helsingfors i Upsalu.

Już od lat blizko pięćdziesięciu młodzież skandynawska zaprowadziła zwyczaj zbierania się co lat cztery lub pięć w jednem z miast uniwersyteckich, aby akademickim i hulaszczym obchodem, święcić umysłową unię ras północnych. Wypadek klimateryczny wyrodził ten zwyczaj.

W r. 1827 zima była wyjątkowo ciężka, przesmyk oddzielający Malmoë od Kopenhagi, wybrzeże duńskie od szwedzkiego, zamarzł zupełnie, co bardzo rzadko miewało miejsce; studenci ze szwedzkiego miasta Lund postanowili korzystać z rzuconego przez przyrodę mostu i odwiedzić swych kolegów w Kopenhadze. Ci dowiedziawszy się o tem postanowili ich uprzedzić i procesyonalnie dążyli do Lund, i traf zrządził że się spotkali na samym środku, zamarzłej ciaśniny, w równej od obu krajów odległości. Następuje zaimprowizowana zabawa; Duńczycy oznajmiają że nie ma nic tak doskonałego jak poncz szwedzki, Szwedzi przyznają że piwo kopenhagskie nie ma równego sobie na całym świecie: nie trzeba było więcej aby dzieci jednej rodziny zapomniały strasznych kłótni i starych wspomnień jakie przywodziła unja kalmarska. Mówiono o zbliżeniu i pojednaniu się rozdzielonych gałązek wielkiej rassy skandynawskiej i po licznych toastach stanęło na tem, aby ponawiać podobne zebrania i zaprosić na nie kolegów Christianji i Upsalu. Od owego czasu już kilka takich kongresów odbyło się w Upsalu, podwajając przez kilka dni jego ludność i zapełniając gwarem ciche jego mury.

Ma się rozumieć że na zgromadzeniach których członkowie mają od lat ośmnastu do dwudziestu pięciu, nie obejdzie się bez rozprawiania o polityce; na nich też powstała i rozwinęła się idea skandynawizmu, to jest połączenia pod jednem berłem królestw: Szwecyi, Norwegji i Danji. Biesiadnicy Upsalscy nie wiele się troszczyli o trudności jakie pokonaćby trzeba, o niezłomne prawie zawady, rozstrzygali stanowczo o losie dynastyi, łączyli je lub odsuwali i tak gwarząc i prowadząc się pod ręce, wędrowali po krainie Utopji, śpiewając hymn narodowy Karola XII. Ale Szwedzi obok żywej wyobraźni mają wiele bardzo zdrowego rozsądku, i nie lubią długo łudzić się mrzonkami; to też od lat kilku idea skandynawizmu zasypia sobie, a studenci za wspólną zgodą wykluczyli ze swych zgromadzeń czynną politykę i jeśli prawią jeszcze o zjednoczeniu rasy do jakiej należą, odnosi się to tylko do unji moralnej i literackiej, urzeczywistnionej prawie już przed laty 30, gdy szwedzki poeta Tegner uwieńczył laurem Duńczyka Oelenschlagera w katedrze Lundzkiej, przy szalonych okrzykach młodzieży obu krajów.

Podczas bytności naszej uroczystość Upsalska pełnym zajaśniała blaskiem z powodu przybycia studentów uniwersytetu Helsingforskiego, którym rząd rosyjski dał pozwolenie udania się na ten obchód narodowy czyli raczej etnograficzny; tak więc w r. 1875 Finlandya po raz pierwszy wysłała swoich przedstawicieli na tę uroczystość rodzinną.

Studenci Upsalskiego uniwersytetu, zajmujący prawie połowę miasta, bardzo serdecznie wywiązywali się z obowiązku gościnności; każdy przyjmował do siebie co najmniej jednego Duńczyka, Finlandczyka i Norwegczyka. Ja z moim towarzyszem podróży, nie mieliśmy prawa do tej bratniej gościnności, ale narodowość nasza otworzyła nam wszystkie drzwi i serca, tak tam w ogóle lubią Francuzów. Zaledwieśmy wylądowali otoczono nas ze wszech stron i jeden przed drugim ofiarował gościnność w swoim domu, a studenci szwedzcy, duńscy i norwegscy, bandami zagradzali nam drogi do hotelu. Trudno było walczyć z taką koalizyą, to też poddaliśmy się i na dobre nam to wyszło.

Nazajutrz rano zbudziły nas wystrzały armatnie, a gospodarze nasi przedstawili nam program zabaw i uroczystości. Pierwsze miejsce zajmowała poważna dysputa dwóch studentów o jakąś subtelną kwestyę teologiczną. Zaprowadzono do wspaniałej sali przybranej w chorągwie i godła, w której w obec całej ludności uczeni szermierze dowodzą, zbijają zarzuty, przytaczają rozmaite cytaty, każdy broniąc swych zasad, a sędziami wydającymi wyrok są poważni profesorowie siedzący na estradzie. Słuchacze przysłuchują się z natężoną uwagą; piękne Upsalanki nie spuszczają oka z zapaśników słowa; nie jedna może w głębi duszy gorąco pragnie zwycięztwa czerwonego lub białego kaszkiecika. Zdało nam się że cofnęliśmy się do owych czasów, gdy damy dworu szły z Louvru do Sorbonny przysłuchiwać się teologicznym sporom a dwunastoletnia Marya Stuart, na prawione jej po łacinie grzeczności odpowiadała w tymże języku.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA Z BERLINA.

Stan przemysłu w Niemczech. — Czy Niemcy mają przyjąć udział w Wystawie paryzkiej. — Praca kobiet i dzieci w fabrykach. — Uroczystość 4 Września. — Sławny amerykański doktór Evans w Koblencyi. — Wystawa Sztuk Pięknych i Przemysłu w Monachium. — Ludzie. — Psy. — Ludność Prus i nieustanny jej przyrost. — Wyrabianie prowiantu dla wojska, w Moguncyi. — Installacya Akademji wojennej w Berlinie. — „Lato w Wiedniu,“ Julljusza Rodenberg. — „Prądy opinji,“ K. M. Richtera. — „Raj,“ Pawła Heyze. — „Benvenuto,“ Fanny Levald.

(Dokończenie).

Słynny nowellista, Paweł Heyse, napisał obszerny romans „*Raj*“ który jednak pod względem wartości nie dorównywa wielu jego nowellom.

Rzecz dzieje się głównie w Monachjum, w tem mieście artystycznem, w „nowych Atenach“ jak je dawniej nazywali Niemcy; główne osoby powieści są to malarze. Malarz Jansen, prawdziwy artysta, zapoznał się w młodości i ożenił z aktorką, następnie rozłączył się z nią z powodu że złamała wiarę małżeńską. Po tem rozłączeniu zamieszkał w Monachium wraz z dzieckiem, jedynym owocem nieszczęśliwego tego małżeństwa; aby zarobić na utrzymanie, zmuszony był wyrzec się swego artystycznego ideału i zamienić się w artystę rzemieślnika. Malował więc łokciowe obrazy świętych i różne tandetne obstalunki. Jansen ma przyjaciela Feliksa von Waiblingen, także malarza, który najpierw prowadził życie dość wolne w swojem mieście rodzinnem, potem zaręczył się z panną należącą do wyższego towarzystwa i pojechał na kilka lat do Ameryki. Gdy powrócił nie umiał zastosować się do ciasnego i nudnego życia krajowego; nie sympatyzmował także z rodzicami narzeczonej swojej Ireny, zarzucając im mieszczańskie przesądy i zerwał z narzeczoną, w przekonaniu że nie kocha go tak jak on pragnie być kochanym. Nareszcie Feliks Waiblingen przybywa do Monachium, aby tam zupełnie poświęcić się sztuce. Powieść zaczyna się w chwili gdy dwaj przyjaciele spotykają się z sobą; autor wprowadza nas pomiędzy artystów i przedstawia nam mieszkańców tego „Raju“ służącego za tytuł dzieła, *Rosenbusch*: poznajemy tu pannę Angelikę; Rossel'a, malarza two-

rzącego w myśli najpiękniejsze obrazy, ale nigdy nie biorącego pendzla do ręki; Kohle'a, ucznia Korneliusa etc. wszystkie te osoby odgrywają w romansie znaczniejszą lub podrzędniejszą rolę.

Feliks, to raczej człowiek czynu niżeli artysta; jego zamiłowanie w malarstwie nie przekracza zwykłego diletantyzmu i nie jest w stanie zapełnić jego życia. W pracowni Jansena poznał rudą dziewczynę, służącą artyście za model, i ta w nim się zakochała. Feliks choć nie zapomniał jeszcze Ireny, jednakowoż z nudów wdaje się w tę nową miłostkę. W tem pewnego dnia Irena przejeżdża z wujem do Monachium, i pragnie pojednać się z dawnym narzeczonym. Kochankowie spotykają się i po długim szeregu zwikłanych przygód, pojednań i pokłóceń, po niezliczonych nieporozumieniach i quiproquo, zostaje wydany świetny bal maskowy w „Raju“ na cześć stanowczego pojednania narzeczonych.

Podczas tych różnych wydarzeń i serce Jansen'a nie próżnowało także; zakochał się w pięknej trzydziesto-letniej pannie Julji, która przez długie lata podlegała despotycznej matce, i teraz dopiero zaczyna używać świata. Na nieszczęście żona Jansen'a żyje, i pod tym tylko jedynym warunkiem chce pozwolić na rozwód, jeśli mąż odda jej dziecko. Jansen znowu nie chce na to przystać, nie wierząc aby Łucya, płocha i niewierna żona, kochała rzeczywiście dziecko swoje i umiała być dobrą matką. Tak rzeczy stoją, gdy korzystając z wyż wspomnianego balu maskowego, żona Jansen'a wpada i porywa dziecko swoje. Jansen z Feliksem udają się za nią w pogoń; i gdy nareszcie Feliks znalazł się w obec Łucyi, poznaje w niej jedną ze swych dawnych kochanek. On to pierwszy, nie wiedząc że jest żoną Jansen'a, sprowadził ją z drogi cnoty. Poznał ją gdzieś w kąpielach morskich i miał za Angielkę.

Dręczony wyrzutami sumienia, Feliks nie może znieść myśli aby miał być szczęśliwy w domowem ognisku skoro zniweczył na zawsze szczęście przyjaciela, znowu opuszcza tę nieszczęśliwą Irenę, która już ledwie dyszy ze strapienia. Tymczasem Julija nie mająca najmniejszej ochoty poświęcać się dla czegoś lub dla kogoś, pocieszа biednego Jansen'a i obywają się bez ślubu.

Wojna z r. 1870 — która odgrywa rolę we wszystkich prawie dzisiejszych niemieckich romansach, łączy pod jedną chorągiew wszystkie osoby powieści, oraz malarzy monachijskich, z którymi autor zapoznał czytelników *w Raju*. Po skończonej wojnie znikają wszelkie zawady: Feliks żeni się z Ireną; Łucya pragnąc zaślubić bogatego Anglika sama żąda rozwodu, a więc stosunek Jansen'a z Juliją może być uświęcony przez małżeństwo.

Na tem kończy się powieść Pawła Heyse'go.

Utwór ten ściągnął na siebie w ogóle też same zarzuty, co i jego *Dzieci Świata*. Za wiele tu ruchu i nagromadzonych wypadków; czcze uczucie ciekawości podbudzane jest kosztem wznioślejszych domagań się umysłu i smaku. Jednak trzeba przyznać że charakter Jansen'a dobrze przeprowadzony i delikatnie wycieniowany, a postacie Feliksa i Ireny jednają sobie współczucie czytelnika. Pomysłowy genijusz Heyse'go odznacza się szczególniej w osobach podrzędne w powieści zajmujących stanowisko, w tych różnorodnych oryginalnych typach artystów, przedstawianych z taką prawdą i życiem. Są to ustępy bardzo piękne, ale całość źle obmyślona i zbywa jej na jedności; wyraźnie doskonały malarz rodzajowy, wdał się w utworzenie wielkiego obrazu dekoracyjnego; lepiejby zrobił Heyse gdyby nie przekraczał „Nowelli“ w których jest mistrzem i trzyma palmę pierwszeństwa, której mu dotąd nikt w Niemczech odebrać nie zdołał.

Fanny Lewald, autorka romansu *Benedykt* i *Oswobodzicielki* w nowej powieści swojej *Benvenuto*, wprowadza także czytelnika do świata artystycznego, ale w innej zupełnie epoce. Nowy ten utwór stoi niżej od obu powyższych, jednakowoż i przedmiot i styl piękne i zajmujące. Pani Lewald zamierzyła odmalować społeczeństwo rzymskie w początku naszego stulecia. Snycerz rzymski, potomek jednej z najstarożytniejszych rodzin, opowiada swoje życie, jak poświęcił się sztuce w brew zamiarom ojca który przeznaczał go do stanu duchownego, i jak w pośród tysiącznych przeciwności i zwalczaniu coraz nowych przeszkód, doszedł męzkiego wieku.

Autorka kreśli gładkiem i wprawnem piórem żywemi barwami odmalowany obraz życia rzymskiego, dopełniając go własnemi uwagami i spostrzeżeniami. Pałace zamieszkane przez arystokracyę starożytnego grodu, pracownie malarzy, krajobrazy z kampanji rzymskiej, stanowią jakby ramy obrazu. Obok dumnego ojca który nie chce zezwolić aby syn jego pracował a tem więcej sprzedawał utwory swego dłuta, staje uczony, rozumny i przewidujący kapłan, który zachęca i popiera usiłowania młodego artysty; dalej znów widzimy ponurego pochlebcę, fanatyka podżegającego dumę i namiętności pana domu, w widokach pozyskania majątku jego dla swego zgromadzenia, oraz zachwycające stworzenie, młodą dziewczynę z ludu, imieniem Gloria. która śpiewa po ulicach i deklamuje ustępy z Tassa. Opowieści, opisy, charaktery, wszystko tu przywdziało formę czystą, jasną, nienaganną, wywołującą tak spokojne wrażenia jak dzieła starożytnej sztuki. Jest to niezaprzeczenie przymiot ale nie bez wady, gdyż przez to znów brak romansowi tej charakterystycznej indywidualności, która przykuwa czytelnika, jak to ma miejsce przy opiście rzeczywistego życia, jakiem bohatorowie żyli i oddychali; kiedy przeciwnie w „*Benvenuto*“ bohaterowie p. Fanny Levald są za nadto, że tak powiem, nieosobiści. Zawsze jednak jest to utwór wysokiej wartości, podniosły, pokrzepiający, którego czytanie budzi w sercu i w umyśle uczucie miłego spokoju.

W dziennikach niemieckich prowadzono zaciętą polemikę w przedmiocie przedstawień Wagnera w Bayreutch. Bądź co bądź przyznać trzeba, że przyjaciel króla bawarskiego za nadto przesadzone tworzy sobie roszczenia; nie tylko pragnie z reformować operę, ale nawet utrzymuje że nową stworzył sztukę. Ponieważ zamiast podnosić kortyna rozsuwa się na dwie strony, co znów nie jest nowością gdyż od niepamiętnych czasów praktykowało się to w wielu teatrach ponieważ posługuje się maszyną parową do zgęszczania chmur na scenie, a orkiestrę umieścił w ukryciu, co także nie jest nic nowego — znalazła się pewna liczba naiwnych którzy wierzą, iż twórca *Pierścienia Niebelungów* jest jednym z tych genijuszów którzy zmieniają postać rzeczy, że narodowa sztuka niemiecka datuje się dopiero od jego tetralogji, jak to sam powiedział.

Jak wiadomo w teatrze jego w Bayreutch, który mówiąc nawiasem przypomina trochę kolorem i stylem dworce kolei żelaznych angielskich, znajduje się osobna galerya dla książąt i głów koronowanych. Na pierwszem przedstawieniu znajdował się cesarz niemiecki, a dowcipnisie mówili iż pragnie sprawdzić osobiście, czy da się zjednoczyć Niemcy pod względem muzykalnym, jak już zostały zjednoczone pod względem wojskowym, i widać uznał to za niemożebne, ponieważ opuścił teatr zaraz po *Walkiryi*, to jest po drugiej części tetralogji Wagnera.

Po ukończeniu trzeciej seryi przedstawień, zaraz po zamknięciu się kortyny, Wagner uważający się za równie doskonałego mówcę jak i muzyka, powiedział wielką mowę do publiczności. Skarżył się że spaczono myśl jego przesadzając i przekręcając słowa jego odnoszące się do jego dzieła. On nie chciał powiedzieć że sztuka niemiecka od niego datować się będzie, tylko że opery jego stanawić będą ważny krok na drodze wyzwolenia sztuki niemieckiej; potem zwracając się do J. K. Mości, Ludwika, króla bawarskiego o mało nie zadusił swojem kadzidłem. Ale w tym razie miał słuszność, gdyż wie on dobrze iż tylko dzięki poparciu króla a głównie dzięki talarom *poczciwych* Bawarów, mógł doprowadzić do skutku i teatr i przedstawienia swej tetralogji. Mówią jednak że do razu sztuka, i że kilku zacofanych deputowanych bawarskich niezbyt zamiłowanych „w nieskończonej melodyi“ na pierwszem posiedzieniu sejmu zamierzają żądać i stawić wniosek „oddzielenia muzyki od państwa.“

I nie możnaby im nie przyznać słuszności, gdyż mistrz który czerpie głównie z kieszeni swego królewskiego przyjaciela, wydaje i utrzymuje się daleko wystawniej od niego. Obecnie syt zaszczytów i sławy postanowił na odpoczynek wyjechać do Włoch, a z jakimże to zbytkiem i kosztem odbywał tę podróż, z całym domem i liczną służbą. On z rodziną zajmował oddzielny wagon pierwszej klassy; liczna służba jechała drugą klasą, choć miała to być podróż in-cognito... A jednak mówią że w Bayreuth znaczne zostawił długi.

W teatrach nic nowego, same przekłady sztuk francuzkich; jeszcze w Wiedniu pokaże się czasem jakiś utwór oryginalny nie bez wartości, w Berlinie rzadko się to kiedy zdarza.

Przegląd literacki.

Źródła Dziejowe Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego Listy i Mowy. Wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1876.

Pomimo że nigdzie litera prawa nie dążyła do stłumienia osobistych wpływów na rządy tyle co w dawnej Polsce, w rzeczywistości jednak nigdzie nie było tyle pola dla działalności przemożnych jednostek. Ogół szlachty nie miał potrzebnego wykształcenia ani uzdolnienia, ażeby mógł sprostać zagwarantowanym mu prawom: ludzie, odznaczający się urodzeniem, bogactwy lub zdolnościami kierowali temi masami, jak sami chcieli. Używano i nadużywano wpływu, a nieszczęście mieć chciało że niedość było w ciągu kilku wieków takich osobistości, które potrafiłyby na trwałą korzyść kraju obrócić swój wpływ i zdolności. Rozmaite też sądy wydawali spółcześni i potomni o cząstkowych i chwilowych przodownikach szlachty i naczelnikach stronnictw. Krzysztof Grzymułtowski wojewoda poznański, którego działalność należy do epoki Jana Kazimierza i dwóch następujących królów, nie był wprawdzie pierwszorzędną osobistością owych czasów, jak np. Lubomirski, Czarniecki lub Sobieski; jednak imię jego u współczesnych było głośnem, a historya przekazała nam je w nazwie traktatu Grzymułtowskiego wiecznego pokoju z Rossyą zawartego przez wojewodę, jako posła Eptej w Moskwie 1686 roku. Jeszcze w zeszłym wieku Załuski wydał pewną ilość listów Grzymułtowskiego w zbiorze „Epistolae historico-familiares“. Potem Mikołaj Malinowski, Helcel, Przeździecki i niedawno (1870) r. Skrzydylka wydali nieco więcej przyczynków do działalności wojewody, a Malinowski w Źródłach do dziejów polskich (Wilno 1844) podał także obszerniejszą wiadomość o życiu Grzymułtowskiego. Obe-

cnie przybyło jeszcze więcej materyałów rękopiśmiennych, których p. Biełozierski udzielił p. Jabłonowskiemu. Ten ostatni jest zdania, że powinny jeszcze znaleść się dokumenta z archiwum Grzymułtowskich, z którego może i udzielone jemu pochodzą. Wszystkich dokumentów jest 75; przedrukowane są w książce, o której mówimy, a nadto posłużyły panu J. do ułożenia zupełniejszego życiorysu Grzymułtowskiego, który umieścił na czele.

Grzymułtowski spokrewniony był z Zebrzydowskimi, Opalińskimi i Leszczyńskimi i czynnie należał do wypadków panowania Jana Kazimierza. Walczył przeciwko Szwedom, a po uspokojeniu kraju sprzyjał zamiarom królowej co do obioru następcy za życia króla. Prędko jednak zmienił politykę i stanął po stronie Lubomirskiego, gdyż popierał nadzieję Fryderyka Wilhelma elektora brandeburskiego, który pragnął korony polskiej i miał w Polsce wielu przyjaciół, zyskując ich tem „że się po polsku nosił i przed każdym towarzyszem nizko czapkę zdejmował". Był to ów „Wielki Elektor", którego sławią dziś Prusacy, jako założyciela swej potęgi, świeżo uwolniony od lennej Polski zależności.

Po ustaniu rokoszu Grzymułtowski pojednał się z królem i znowu wrócił do polityki królowej: już to w ogóle chwiejność i zmienność opinji tego dygnitarza były wielkie; w książce nie mało znajdujemy ciekawych pod tym względem szczegółów. Odradzał Janowi Kazimierzowi abdykacyę, gdy zaś ta nastąpiła, pozostał stronnikiem kandydatów francuzkich. Wytrwał w tej sympatyi przez cały ciąg panowania Michała, którego był przeto jawnym przeciwnikiem: znosił się z posłem francuzkim i brał udział w intrygach kierowanych ku detronizacyi królewskiej, do których należał także Morsztyn i podobno Sobieski. Wytoczono nawet Grzymułtowskiemu sprawę przed królem o zdradę kraju i majestatu, ale skończyło się jakoś na niczem. Nie tak łatwo uniknął Grzymułtowski nienawiści szlachty, ubóstwiającej Michała, która go też raz na sejmiku okrutnie szablami posiekała. Za Sobieskiego Grzymułtowski występuje jako stronnik królewski i bierze czynny udział w kwestyach administracyjnych, wojskowych i finansowych; szczególniej dużo zajmował się cłami i część ceł sam chciał wziąść w dzierżawę, co gdy mu się nie powiodło, zaczął występować jako przeciwnik domu królewskiego. Popierał jednak główną myśl zasadniczą polityki Jana III-go wojnę do upadłego z Turkiem i dla tego przyjął na siebie poselstwo do traktowania o pokój z Rosyą: zamierzano porozumieć się co do granic i skłonić carów do orężnej i pieniężnej pomocy przeciwko Turkom. Pierwsze negocyacye Grzymułtowskiego w Kadzyniu (niedaleko znanego z poprzednich traktatów Andruszowa) nie powiodła się; wypadło mu więc udać się 1686 r. do samej Moskwy, gdzie panowali wówczas wspólnie Iwan i Piotr carowie pod opieką swej Siostry Zofji. Opis podróży, pobytu w Moskwie i przebiegu negocyacyi jest najciekawszą częścią książki, zarówno zawarte tam dokumenta z owego czasu, jak i sam opis w życiorysie. Szkoda że dokumentów jest tylko dwa; mowy do carów: opis zaś skreślił autor podług innych źródeł, wydanych we wspomnionym powyżej zbiorze przez Malinowskiego. *(d. n.)*

NOWE WYDAWNICTWA.

J. I. Kraszewskiego powieści historycznych wyszła część trzecia, obejmująca powieść z czasów Chrobrego p. t. „**Bracia Zmartwychwstańcy**." Nakład spółki wydawniczej księgarzy warszawskich.

Nakładem księgarni Maurycego Orgelbranda wyszły następujące dziełka:

Jak sobie dziatwa radziła, opowiadania nauczające dla czytelników od lat 9 do 13 przez Anastazyę Dieduszycką. Treść cała ułożona w sposobie powieści, przedstawiona jest w listach i dzienniczku pisanym przez chłopca czternastoletniego. Autorka tłomaczy w nich wiele przedmiotów gospodarstwa społecznego dotyczących i dotyka różnych chwil i wypadków ważny wpływ na wychowanie młodzieży mających. Jasność i przystępność zaleca całą tę pracę.

Z dziedziny przyrody, życiorysy: kawałka węgla, ziarnka soli, kropli wody, ułamka zardzewiałego żelaza i bryły krzemienia. Przełożyła z angielskiego Anastazya Dzieduszycka. Sam tytuł objaśnia treść dziełka, dodamy tylko, że opowiadania prowadzą same przedmiota użyte do wykładu jakby żyjące osoby, siedzące w pośród gronka dzieci i rozmawiające z niemi swobodnie. Formy tej nie jesteśmy zwolennikami, ale jak w tym razie szkody ona nie przynosi a dosyć się przyczynia do ożywienia samego wykładu.

Obrazki z życia młodocianego wieku, napisane oryginalnie przez Maryą z Łozińskich Popławską, wydanie drugie. Mieści się w nich trzy powieści p. t. „Sierota," „Stefanek," „Z życia Janinki."

Bóg nie opuści, kto się nań spuści opowiadanie Fr. Hoffmanna, wolny przekład W. L. Anczyca, nakładem księgarni Altenberga i Robitschka. Cena k. 75. Opowiadanie całe wielce zajmujące i z przyjemnością odczytane być może.

Seryi liljowej bibljoteczki dla młodzieży nakładem księgarni Ferdynanda Hösicka wyszły dwie powiastki tłomaczone z angielskiego przez Zofiję Grabowską: pierwsza p. t. **Mali mężczyzni** — druga **Ernest Elton leniwy chłopiec.** Każda z tych powieści stanowi oddzielną książeczkę ozdobnie i starannie wydaną.

Album fotografji z obrazów malarzy polskich nakładem księgarni Altenberg i Robitschek, wyszło w 2 ch seryach składających się po 14 fotografji w gabinetowym formacie. Cena każdej seryi rs. 7, pojedyncze egzemplarze po kop. 50. Kupującym obie serye złożone ze sztuk 28, dodaną zostaje ozdobna teczka.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym 1877 roku, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Niską tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

Przyjaciela Dzieci Nr 52 wyszedł z druku i zawiera:

Wigilija (wiersz). — Różyczka (dokończenie). — Konstantynopol (z drzeworytem). — Wigilija bitwy pod Kirchholmem (z drzeworytem). — Czyny nauczające. w Do datku: Na dworskim chlebie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (17) Декабря 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.